GLOBALNIE · OPINIA

FUKUYAMA PROROKIEM KONSERWATYSTÓW? PRAWICA TEŻ MA SWÓJ „KONIEC HISTORII”

Jan Fiedorczuk · 6 maja 2026

Tradycjonalizm polityczny jest dzieckiem nowoczesności. Wizja, jaka się z niego wyłania, przypomina prawicową wersję "końca historii".

Myślenie utopijne nie jest wyłącznie domeną lewicy i liberałów, ale pojawia się również po prawej stronie sceny politycznej. Także prawica posiada swój *koniec historii*. Jakkolwiek konserwatywna wizja diametralnie różni się od projektu Francisa Fukuyamy, to aprioryczno-utopijny schemat myślenia jest zaskakująco podobny. Widzimy go zarówno wśród dogmatycznych piewców wolnego rynku, jak i kontrrewolucjonistów walczących z demokracją. Najzabawniejsze, że współcześni tradycjonaliści głoszący bunt wobec nowoczesności nie dostrzegają, że sami są dziećmi modernizmu.

Francis Fukuyama nigdy nie twierdził, że *koniec historii* oznacza kres wojen i konfliktów. Idea *końca historii* jest marzeniem typowym dla teoretyków szukających ahistorycznych, uniwersalnych modeli. Jako taka przynależy do sfery utopii, a nie realnej polityki. Przez swój romantyczny, fantazyjny charakter idea ta potrafi jednak być kusząca nie tylko dla liberałów. Komunizm był niczym innym jak lewicową wersją eschatologii. Czy podobnej utopijności nie znamionują konserwatywne marzenia o restytucji dawnego tradycjonalistycznego, chrześcijańskiego ładu i depolityzacji ludu?

Innymi słowy należy się zastanowić, czy Fukuyama, opiewając demoliberalny porządek, który rzekomo miał zwieńczyć dzieje, nie dotknął przypadkiem fundamentalnej kwestii charakterystycznej dla wszelkich ideowych form zajmowania się polityką.

Czym *koniec historii* nie jest

Pojęcie *końca historii* powraca w publicznym dyskursie w wersji wykoślawionej i oderwanej od oryginalnych twierdzeń Fukuyamy. Niemal zawsze ten termin pada w kontekście rzekomych marzeń o końcu konfliktów, quasi-kantowskim wiecznym pokoju, postpolityce etc.

Fukuyama nigdy jednak w ten sposób nie definiował tego pojęcia. Sięgając poprzez Kojeva aż do Hegla, amerykański politolog prorokował proces wyczerpywania się alternatyw ustrojowych dla demokracji liberalnej. Przez tysiąclecia papierkiem lakmusowym filozofii politycznej był spór o najlepszy ustrój, próba znalezienia modelu najbardziej sprawiedliwego z dostępnych. Klasyczny jest tutaj oczywiście przykład Arystotelesa i Platona, ale gdybyśmy tylko chcieli, moglibyśmy się cofać jeszcze dalej w głąb dziejów. Jak jest ukonstytuowane społeczeństwo, jak funkcjonuje zasadniczy dla polityki układ pan-niewolnik,

czyli kto rządzi, a kto jest rządzony, jaka jest legitymizacja tego porządku – oto pytania, które przez setki lat wyznaczały pola sporu metapolitycznego.

Fukuyama tymczasem stwierdza, że ten spór się wyczerpał, że XX wiek dowiódł, iż mariaż gospodarki rynkowej z masową demokracją oraz ideologią praw człowieka (trójca gospodarka-polityka-ideologia) jest najbardziej racjonalną, stabilną i wartościową propozycją ustrojową, jaką z siebie wykrzesał człowiek. Wszelkie alternatywy wobec tego porządku miały natomiast zostać zdyskredytowane. Nie znaczy to, że wojny i konflikty przejdą do – nomen omen – historii, tylko że żadna inna propozycja nie będzie miała globalnego rezonansu porównywalnego z demoliberalizmem. To znaczy nawet gdyby alternatywa się pojawiła, to nie będzie atrakcyjna w perspektywie globalnej.

> Oczywiście niedomagania wizji Fukuyamy są dzisiaj, w roku 2026, widoczne gołym okiem. Jednak błąd amerykańskiego politologa nie polegał na infantylnej wierze w wieczny pokój, tylko na uznaniu bezalternatywności demoliberalizmu. Postrzeganiu go jako szczytowy punk w dziejach ludzkiej refleksji.

Dzisiaj, rzecz jasna, widzimy cały szereg dowodów, że historia się nie kończy. W Europie do głosu dochodzą narodowe populizmy (nacjonalizmy), które podważają demoliberalny konstrukt, a czego najdonioślejszym przejawem jest spór o masową migrację (esencję prawoczłowieczej ideologii); w Chinach nowy technokratyczny autorytaryzm dowodzi, że można z powodzeniem łączyć model rynkowy z silną państwową kontrolą i odejściem od demokratycznych standardów; nawet w USA za prezydentury Donalda Trumpa obserwujemy załamanie liberalnego modelu. Każdy z tych przykładów dowodzi, że święta trójca demoliberalizmu (rynek-demokracja-prawa człowieka) rozpada się, a narody poszukują alternatywy. Z Fukuyamy łatwo się śmiać, choć jest to raczej śmiech bezproduktywny.

Co więcej, problem *uznania*, który miał zostać wchłonięty i rozwiązany w ramach demokracji liberalnej, jedynie zyskał na mocy. Kolejne grupy społeczne zaczęły konkurować i manifestować swą odmienność, domagając się uznania i adoracji, a momentami wręcz podważając stabilność państwa (pisałem o tym w „Polityce Narodowej" w tekście *Postliberalizm, czyli narodziny społeczeństwa zamkniętego*). Globalizacja jedynie zwiększyła napięcia i nierówności, przyspieszając koniec *końca historii*.

Marzenia o konserwatywnym końcu historii

Po latach Fukuyama jest użyteczny przede wszystkim jako lustro, w którym przeglądał się świat Zachodu w latach 90. i na początku XXI wieku. Jest też niewątpliwie jakaś głęboka prawda w utopijnym charakterze jego koncepcji, która ujawnia się również poza liberalizmem. Nie w jego przesłaniu, ale powabie tego, co pisał amerykański politolog, ponieważ liberalny sen, w którym demoliberalizm urósł do rangi Świętego Graala, okazał się ułudą, jednak równie utopijny charakter przejawiają doktryny wszelkiej ideowej proweniencji – również tej prawicowej. Innymi słowy prawica również ma swój *koniec historii*.

Przyjrzyjmy się konserwatyzmowi, gdyż to wyjątkowo wdzięczny temat. Ale temu *faktycznemu* konserwatyzmowi, czyli konserwatyzmowi doktrynalnemu, odwołującemu się do koncepcji *rzeczywistości prawdziwej,* kontrrewolucji, sojuszu tronu i ołtarza. Konserwatyzmowi Josepha de Maistre'a i Donoso Cortésa,

konserwatyzmowi, który nie kłania się nowoczesności, twardo dążąc do odbudowy przedrewolucyjnego ładu, a który to konserwatyzm choćby na łamach Nowego Ładu popularyzuje od dłuższego czasu Sergiusz Muszyński.

Spójrzmy na znamienny fakt, jaki łączy przeróżne postacie radykalnej prawicy, a który sprowadza się do transferowania wyśnionej rzeczywistości *prawdziwej* w coraz bardziej odległą przeszłość.

> O ile dla świadków rewolucji francuskiej pokroju de Maistre'a czy de Bonalda było to po prostu odwołanie do świata, w którym faktycznie wzrastali i do którego tęsknili – innymi słowy do świata, który był dla nich realny – to już ich XIX i XX-wieczni następcy nawiązują do czasów, które znają wyłącznie z książek i przekazów ustnych. Nawiązują zatem do wyobrażeń, a nie prawdy.

Co więcej, kontrrewolucjoniści końca XVIII wieku chcieli cofnąć koła historii ledwie o kilka dekad, jednak ich następcy radykalizują się w tym względzie. Hiszpańscy karliści domagali się powrotu do świata sprzed pół tysiąca lat. Nicolás *Gómez Dávila* sięgał jeszcze dalej, wskazując, że kryzys zachodniej cywilizacji ma swój początek w XIII wieku. To jednak nadal nie było nic szczególnego na tle Juliusa Evoli, który w ogóle cofał się o dwa tysiące lat, stwierdzając, że grecka filozofia i chrześcijańska etyka zniszczyły tradycję pierwotną, zastępując je kultem rozumu i etyką słabości.

Konserwatywni intelektualiści mają naturalną predylekcję do odrzucania codzienności na rzecz marzeń, które sytuują w odległej przeszłości. Marzeń o świecie, którego nigdy nie znali i który już nie istnieje. Jest to marzenie *expressis verbis* o konserwatywnym *końcu historii*. Stąd już krok do wykształcenia się jakiejś formuły prawicowej ezoteryki, sakralizującej przeszłość, zapominając o teraźniejszości i nie dbając o przyszłość.

Wizytówką, fundamentem i probierzem, a dla niektórych wręcz esencją tegoż nurtu pozostaje monarchizm. Jeżeli zajrzymy do przekrojowego tekstu *Próba teoretyzacji pojęcia „prawica"* autorstwa prof. Jacka Bartyzela, nie tylko wielce zasłużonego dla polskiej nauki badacza idei, ale również niewątpliwie najwybitniejszego żyjącego sympatyka tegoż „konserwatyzmu prawdziwego", to zobaczymy, że wśród przedstawicieli „prawicy nad prawicami" wymienia on takie nazwiska jak de Maistre. de Chateaubriand, Guénon czy Evola, a zatem myślicieli radykalnie antydemokratycznych, którzy na poziomie metapolitycznym skłaniali się do tego, co można by określić mianem tradycji „prawdziwej" (w przypadku Guénona i Evoli – tzw. tradycji pierwotnej).

> Na temat wyższości monarchii nad demokracją napisano co najmniej tyle samo prac co na temat wyższości demokracji nad monarchią, dlatego też nie ma sensu kolejny raz odgrzebywać tego sporu. Istotne jest bowiem nie który ustrój jest lepszy, tylko że restauracja monarchii staje się dla tegoż „konserwatyzmu prawdziwego" celem samym w sobie.

Obalenie demokracji urasta do rangi momentu szczytowego, po którym wszystko zacznie toczyć się bliżej niesprecyzowanym „normalnym" trybem. W ślad za monarchią idą inne kwestie, jak choćby postulat de-

centralizacji, który w XXI wiek stara się przetransferować podziały i układy sprzed kilkuset lat, gdy ludzie funkcjonowali podług zupełnie innej stratyfikacji społecznej, a państwa nie mierzyły się z takimi wyzwaniami jak obecnie.

Sam ustrój polityczny jest ważną, ale wtórną cechą wobec faktycznych realiów oraz wspólnoty politycznej. To, czy bardziej korzystny dla rozwoju państwa i narodu jest porządek demokratyczny czy autorytarny, zależy od okoliczności. Ustalanie *a priori* systemu politycznego prowadzi do myślenia utopijnego, tworzenia wizji oderwanej od rzeczywistości. Tymczasem realna polityka dzieje się tu i teraz, zmiana zachodzi każdego dnia i nawet gdyby sen konserwatystów się spełnił i „ogłupiały lud" u władzy zostałby zastąpiony przez oświeconego monarchę, to ta zmiana nie unieważni wyzwań dnia codziennego.

Tradycjonalizm dzieckiem nowoczesności

Stawianie postulatów antydemokratycznych w centrum debaty znamionuje zatem zwolenników konserwatywnego *końca historii*, którzy, podobnie jak Fukuyama, są przeświadczeni, że udało im się odkryć faktycznie ustrój najlepszy i ostateczny, dla którego nie ma żadnej alternatywy. A ustrój jest przecież w dużej mierze narzędziem do prowadzenia polityki, a nie celem samym w sobie. Różnica polega na tym, że Fukuyama działał na poziomie uniwersalnym, a monarchiści – paradoksalnie – lokalnym.

Ten utopijny rys konserwatyzmu jeszcze wyraźniej odbija się w koncepcjach „tradycji pierwotnej", „rzeczywistości prawdziwej" etc. Reakcjoniści odwołują się do świata, którego nigdy nie znali, tworząc jego współczesną wariację.

> Jednakże tradycjonalizm XXI wieku jest w swej istocie wyłącznie kolejną formą modernizmu. Stanowi bowiem intelektualną propozycję, czyli zracjonalizowany, przemyślany koncept, a nie naturalny, organiczny „odruch". Jak to trafnie zauważył niegdyś ukraiński historyk Roman Szporluk: „prawdziwy tradycjonalista nie wie, że nim jest".

Dokładnie tak samo jak „prawdziwy Polak" nie musi sobie udowadniać swej tożsamości, po prostu jest tym, kim jest. Matka dziecka nie musi szukać potwierdzenia na rzecz pokrewieństwa, po prostu żyje życiem matki. Tradycjonalista „prawdziwy" jest nim zatem bezwiednie, nie musi pisać manifestów na ten temat, które są jedynie intelektualną propozycją. Konserwatyści XVIII i jeszcze XIX wieku nie musieli projektować swych koncepcji od zera, oni z nich wyrastali – bronili ich, a nie je projektowali. Na tym polegał organiczny charakter prawdziwego tradycjonalizmu. Konserwatyści wieku XX budują swoje wyśnione królestwo, pieczołowicie je konstruując na drodze intelektualnej. Nie są zatem kontynuatorami dawnego świata, a jedynie rekonstruktorami. Kontrrewolucja XXI wieku jest kolejnym odbiciem nowoczesności – jest to modernizm w krzywym zwierciadle, modernizm zbuntowany, ale nadal to modernizm. Nie jest przypadkiem, że największy monarchista XX wieku – Charles Maurras – był ateistą, a jego projekt monarchii narodowej stanowił skrupulatnie opracowaną intelektualną propozycję, która miała służyć francuskiemu narodowi.

> Tradycja jest nie-racjonalna, nie jest odgórnie zaprojektowana. Współcześni tradycjonaliści,

> kreśląc swe wizje, posługują się zatem dokładnie tymi samymi instrumentami, których odrzucenia się domagają. Kolumbijski myśliciel Nicolás Gómez Dávila twierdził, że obecnie „wszyscy są, mniej lub bardziej, z lewicy". Osobiście zmodyfikowałbym ten aforyzm, stwierdzając, że wszyscy są, mniej lub bardziej, dziećmi nowoczesności i przez ten fakt nie w ich mocy jest odrzucanie dziedzictwa ostatniego ćwierć tysiąclecia. To nowoczesność jest naszym „naturalnym" punktem wyjścia. I tak, jest to formacja ułomna, ale czyż ład przedrewolucyjny nie był również ułomny?

Aby w obecnych warunkach nie bawić się w tradycjonalistę, tylko dokonać faktycznej „meta-separacji", koniecznym byłoby pójście w ślady Rene Guénona, który w akcie desperacji porzucił chrześcijaństwo, wyjechał do Kairu, przyjął islam i do końca życia udawał Araba. Chociaż przecież i jego postawa była koniec końców intelektualną pozą, gruntownie przemyślaną strategią, a nie „prawdziwym", bezrefleksyjnym odruchem.

Prawicowe utopie

Lwią część tekstu poświęciłem zagadnieniu konserwatyzmu, gdyż intelektualna polemika na tym polu wydaje mi się po prostu ciekawsza, jednak należy pamiętać, że podobnie utopijne myślenie znamionuje doktrynerów wolnego rynku. Projekt Janusza Korwin-Mikkego, który polityk rozwijał przez całe dekady swej działalności, był niczym innym jak właśnie leseferystyczną wersją *końca historii*, w której pierwiastek polityczny został zmarginalizowany na rzecz aspektów ekonomicznych (państwo minimum) oraz etycznych (wolna jednostka). Autorytarny komponent wizji Korwin-Mikkego był tu w gruncie rzeczy drugorzędny. W tej wizji wolny rynek był punktem docelowym, który miał zakończyć większość bolączek ludzkości, gwarantując dobrobyt i sprawiedliwość. Podobnie jak w neo-tradycjonalizmie, tak i tutaj wizja sama w sobie stawała się celem – szczytem, po którego zdobyciu alternatywy ustrojowe miały się wyczerpać, zapanować miał nowy porządek, dla którego nie byłoby żadnych racjonalnych alternatyw.

Należy pamiętać, że tym, co winno odróżniać prawicę od lewicy, jest zrozumienie dla ograniczeń ludzkiego działania. Podejrzliwy stosunek do utopizmu i przywiązanie do realnej codzienności winniśmy stawiać ponad marzenia o odległej rzeczywistości z przeszłości, której nigdy na oczy nie widzieliśmy (reakcjonizm), jak również nad miraże świata przyszłego egalitaryzmu (socjalizm) czy wolności (leseferyzm). Wypowiadając się na tematy polityczne, należy zawsze mieć z tyłu głowy, że nie mówimy o czystej abstrakcji, ale życiu realnych ludzi.

Dlatego też ze sceptycyzmem podchodzę do ambitnych i na swój sposób romantycznych postulatów odrzucenia nowoczesności i nawrotu do dawnych lekcji udzielanych nam ze starych ksiąg szacownych intelektualistów, którzy zmarli, zanim nasi dziadowie w ogóle się urodzili. Podobnie rzecz ma się z projektami korwinistycznymi, gdzie wolny rynek jest celem samym w sobie. To, czy w państwie dominują pierwiastki autorytarne czy demokratyczne, leseferystyczne czy etatystyczne, jest wtórne wobec okoliczności, w jakich działamy. W zależności od nich konieczne może być sterowanie państwa w jedną bądź drugą stronę. Aprioryczne wiązanie sobie rąk w kwestiach ustrojowych uznaję za wyjątkowo krótkowzroczne.

Liberalny mainstream nie zyskał niczego, ulegając – przynajmniej częściowo – wizji Fukuyamy i poczuciu wyższości z powodu wyznawanych przez siebie zasad. Ostatnie, czego potrzebuje dławiona tyloma problemami współczesna prawica, to ślepe zapatrzenie we własny konserwatywny *koniec historii*. Wszak sam Fukuyama szybko zdał sobie sprawę z braków swego głośnego konceptu, wycofując się w kolejnych latach z optymistycznego wydźwięku swej najpopularniejszej pracy.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=1fnIFlRSg9s

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/fukuyama-prorokiem-konserwatystow-prawica-tez-ma-swoj-koniec-historii/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć